

Janusz Sławiński

Rozszerzone pomyślenie jubileuszowe

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6 (42), 1-12

1978

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Komitet
Nauk
o
Literaturze Polskiej
i
Instytut
Badań
Literackich PAN
dwumiesięcznik 6 (42), 1978

teksty teksty teksty

TEORIA LITERATURY • KRYTYKA • INTERPRETACJA

Rozszerzone pomyślenie jubileuszowe

Znasz uczucie dwupiętrowego zaskoczenia: zaskakuje cię to, że zostałeś czymś zaskoczony? Nie potrafisz pojąć (w chwilę potem), dlaczego jakaś błaha czy oczywista wiadomość wydała ci się nagle osobliwa, dziwaczna, zdumiewająca. Zachodzisz w głowę, co cię w niej mogło zaintrygować; a przede wszystkim: usiłujesz zgłębić, co w tobie samym stanowiło podłoże nieoczekiwanego poruszenia, dlaczego byłeś gotowy ulec — choćby na moment — zdziwieniu w zetknięciu z oczywistością. Doświadczam takiego uczucia nieodmiennie, ilekroć ktoś mi uświadomi wiek IBL-u. Znam jako tako dzieje tej instytucji. Pracuję w niej («jestem zatrudniony») od piętnastu lat. W ciągu tego czasu wypadły dwie smutno-wesołe uroczystości jubileuszowe: wygłoszono wiele wspomnień z dwudziestoletniej przeszłości i ocen dorobku ćwierćwiecza; a oto teraz (piszę we wrześniu 1978 r.) nasza arka podpływa do kolejnego jubileuszu — trzydziestolecia. Było więc wystarczająco dużo okazji, by ustalić w sobie właściwe poczucie wieku Iblowego. A przecież, gdy wkoło słyszę: popatrzcie, to już trzydzieści lat!, najstarszy instytut humanistyczny w Polsce!, dziw doprawdy, że taki szmat czasu przetrwał!, i nawet nazwy nie zmienił! — nie mogę pogodzić się z faktem, że jest ode mnie młodszy. Gdy wszystkich ekscytuje, że tak stary i szacowny, mnie zadziwia i niepokoi, że od tak niedawna istnieje. Klóci się to bowiem z elementarnym — choć pozaświadczeniem żywionym — przeświadczeniem, które zakorzeniło się we

mnie tak silnie, że nie może mu zagrozić wiedza o faktach. Nikt nie pyta o dane metrykalne bohaterów mitu lub baśni; w mojej podświadomej mitologii IBL jest instytucją odwieczną, istniał zawsze — i dlatego bulwersująco działa na mnie wieść, że jego historia daje się zredukować do małego czasu mojej biografii. Tak, jak gdybym nagle dowiedział się, że Waligóra lub Achilles dobiegają właśnie trzydziestki i mieszkają na sąsiedniej ulicy.

Jakoż mitologia ta zrodziła się z przypadków życia i może być realistycznie wytłumaczona. Prawda jest taka, że całe moje wrastanie w zawód (w dwojakim sensie tego słowa) polonisty dokonywało się w rzeczywistości duchowej przez IBL zawinionej. Jestem wytworem IBL-u — czas to wyznaczyć — w dużo głębszym sensie, niżby to wynikało z moich obecnych zależności pracowniczych. IBL mnie poniekąd zaprojektował, uformował i ukierunkował. Wpłynął decydująco na moją chęć bycia polonistą, określił rodzaj wyposażenia zdobywanego na studiach, następnie wyzwolił gwałtowną niechęć do wszystkiego, co iblowskie i potrzebę znalezienia się w Antyibli, a wreszcie wessał i uczynił swoim człowiekiem. Gdyby przyszło mi opowiadać życiorys zawodowy — podzieliłbym go na takie właśnie rozdziały. Byłby to zresztą życiorys tyleż własny, co pokoleniowy lub środowiskowy...

Promieniowanie IBL-u dotknęło mnie w ostatnim okresie nauki licealnej, gdy — nagłony koniecznością — zacząłem zastanawiać się nad wyborem kierunku studiów. Była to konieczność kłopotliwa i denerwująca, ponieważ nie miałem skoncentrowanych zainteresowań — i w polu widzenia pojawiały mi się wciąż nowe ewentualności. Stosunkowo najsilniej ciągnęła biologia, do której byłem przysposobiony w sposób względnie solidny i systematyczny. W pewnym momencie wydawało się, że już przekroczyłem próg decyzji bycia biologiem (nie wiedziałem — nieszczęsny — że to, co mnie najbardziej ciekawiło, genetyka, było w owym czasie — początek lat pięćdziesiątych — owocem zakazanym). W ogóle nie brałem w rachubę zajmowania się badawczego literaturą piękną, chociaż od szóstego roku życia żadne zatrudnienia nie pochłaniały mi tyle czasu, co jej czytanie. Była to jednak dla mnie dziedzina ulokowana całkowicie poza światem szkolnych przedmiotów i powinności, odgradzona od wszystkiego, co praktyczne, obowiązkowe i dające się systematyzować. Dziedzina swobodnego widzimisie, pożądanego hedonizmu i najzupelniej osobistych upodobań i preferencji.

Jak dalece była nie-szkolna i nie-profesjonalna niech świadczy to, że pozwalałem sobie w ogóle nie czytać tekstów wierszowanych (w siedemnastym roku życia nie znałem praktycznie nic z poezji — poza nazwiskami poetów); kontentowałem się w zupełności prozą narracyjną. Nie znałem prawie żadnych opracowań literaturoznawczych, wystarczała mi całkowicie wiedza o pisarzach i epokach czerpana z encyklopedii. Nie jest to dokładnie powiedziane, że mi wystarczała. Gdzieś poza granicami jasnego rozeznania narastała we mnie jednak potrzeba uporania się z balastem wieloletnich lektur. Niefunkcjonalność (życiowa) tych doświadczeń, ich rozproszenie i chaotyczność — zdawały się czymś grozić; przestawiałem nad nimi panować, wymykały się ze strefy, którą odczuwałem w sobie jako mniej więcej zintegrowaną — na podobieństwo nałogu lub manii. Należało z tym wszystkim coś zrobić: uładzić, wyciągnąć na światło dzienne, odnieść do porządku wymiernych powinności, włączyć w jakąś koncepcję samego siebie. Albo porzucić, tak jak porzuca się zabawy i zabawki dzieciństwa. Olbrzymie śmietnisko moich czytań było oczywiście nie do uporządkowania przy pomocy kategorii nauki szkolnej — i nie liczyłem na nią w najmniejszym stopniu. Aby je opanować, trzeba było Doktryny pojemnej i zarazem prostej, zdolnej usensownić trud czytelniczy, tzn. narzucić pewien stały dystans wobec dzieł, zasadę ich rozjaśniania, problematyzowania i etykietkowania. Nie powinienem narzekać: żelazna dłoń Doktryny wsparła mnie stanowczo w dobie trudności. Na pomoc natrafiłem niby przypadkiem, ale wiadomo, że przypadek jest formą przejawiania się konieczności. Znalazłem tę pomoc w książkach z nadrukiem: Instytut Badań Literackich. Wiem, że oświadczenie takie brzmi głucho, niemniej zdaje ono sprawę z momentu istotnie przełomowego w moim życiu. To, co wyczytałem w owych książkach, okazało się prawdziwą rewelacją. Otwierał się przede mną całkiem nowy, i właściwie nie przewidywany, świat — dyskursu literaturoznawczego. Iblowski sposób mówienia o literaturze objawił mi się wówczas (przypominam: na początku lat pięćdziesiątych) nie jako jeden z możliwych rodzajów tego dyskursu, ale jako jedyny, prawdziwie słuszny i niezawodny. Za taki pragnął uchodzić — i taki właśnie bez zastrzeżeń zaakceptowałem, nie znając ani nawet domyślając się innych. O «starym literaturoznawstwie» wiedziałem akurat tyle, ile zawierały oskarżycielskie przemówienia i bezapelacyjne wyroki sformułowane

w pracach Iblowców. Nie dostrzegałem żadnej potrzeby, by zapuszczać się w mroczne okolice błędów i nieporozumień. Skoro prawda przemawia przez pisma «nowego literaturoznawstwa» — to czegoż miałbym szukać na bezdrożach przezwyciężonej nieprawdy? W krótkim czasie stałem się jego bezkrytycznym wyznawcą i admiratorem. Imponowała mi wyższość, z jaką propagatorzy literaturoznawczej nowomowy rozwijali swoje idee i opinie. Wyższość nie tylko wobec poglądów wypowiedzianych w literaturoznawczej staromowie, ale także wobec literatury samej — pisarzy, dzieł, prądów, epok. Miejsce, z którego przemawiali, znajdowało się na wyżynach wiedzy miarodajnej i wolnej od niepewności. Dysponowali znajomością uniwersalnych praw (i prawidłowości) rządzących piarstwem i jego historią. Lekceważąco odnosili się do takich pozorów, fantomów czy wykretów, jak twórcza indywidualność, wyobraźnia, oryginalność, intencja, autonomia wartości estetycznej, bezinteresowna wrażliwość moralna. Potrafili je skutecznie demaskować i pokazywać, co się za nimi naprawdę kryje: uporczywie i monotennie działający mechanizm determinacji klasowych. Wiedzieli, że istotnym zeznaniem literatury jest nie to, co usiłuje nam zakomunikować, lecz jej «obiektywna wymowa», do której dostęp wcale nie jest trudny dla posiadacza niezawodnej Metody. Było doprawdy coś fascynującego w tej wszechwiedzy i wszechwładzy badacza: mógł on przywołać pisarza — nawet z odległej epoki — do porządku, wyjawić jego błędy i ideologiczne ograniczenia, zdekonspirować fałszywą świadomość, określić bezbłędnie stopień wsteczności lub postępowości, zaliczyć go gdzie trzeba i pryncypialnie osądzić. Iblowcy nie kochali literatury — to pewne, wcale nie pragnęli cieszyć się jej osobliwością i rozmaitością; jeśli w ich pracach kołatało się jakieś ludzkie uczucie, to była nim posępna radość u s t a w i a n i a pisarzy, utworów i światopoglądów, satysfakcja komenderowania wziętym w niewolę przedmiotem badań. Regulamin ich działań składał się z trzech i zaleceń podawanych autorytatywnie i bezwzględnie: trzy prawa, cztery cechy, osiem warunków kardynalnych, siedemnaście aspektów... Wszystko razem robiło duże wrażenie — na młodym, dostarczało mu sugestywnego wzoru, jak należy sobie poczynąć w dziedzinie czytanego. Okazało się, że wcale nie jestem skazany na bezsilność wobec żywiołu lektur, że mogę stawić mu czoła z metodyczną bezwzględnością. Potrzebne wyposażenie otrzymałem oto

od nieznanym mi Nauczycieli i Doradców. Przyjąłem je z wdzięcznością. Miałem przy tym poczucie, że włączam się w sprawę już dawno przesądzoną, że wkraczam w obszar słuszności wspartej masywną argumentacją, sprawdzonej wielorako i ugruntowanej. Dałem się uwieść doświadczeniu, które odczuwałem jako zdecydowanie nowe na tle moich dotychczasowych doświadczeń intelektualnych, ale ani przez chwilę nie wątpiłem, że jest ono nowością dla mnie, natomiast w porządku obiektywnym odpowiada mu wzór doświadczenia dobrze utwierdzony i wybrany przez wielu przede mną. Nie miała dla mnie żadnego znaczenia świadomość (zresztą mętna) faktu, że IBL istnieje dopiero od przedwczoraj i niewiele jeszcze zdołał wyprodukować. Reprezentował bowiem w moich — ówczesnych — oczach magazyn jakiejś wiedzy pradowej, która — właśnie mocą swojej dawności — pozwala oświeconym przez nią przemawiać dobitnie i stanowczo. Bez tego rodzaju oparcia (wydawało mi się) nie byłiby po prostu w stanie formułować swoich orzeczeń z taką zniewalającą pewnością siebie. IBL czekał już jakby na mnie od niepamiętnych czasów — podobnie jak wiara czeka na wyznawców. Znalazłszy się w jego polu grawitacyjnym, zdołałem nie tylko rozprawić się — wtedy wierzyłem, że ostatecznie — z moim skrytym kłopotem, ale też pozyskać świadomość, że ów przewycięzony kłopot stanowi wartość w świecie pozaosobistym. Pojąłem, że czytać można również w służbie (i w imieniu) prawdziwej Wiedzy, a nie wyłącznie dla zaspokojenia prywatnych pożądań. Że o przeczytanym można publicznie rozprawiać w gronie kompetentnych partnerów i wobec zainteresowanego audytorium — i że jest to zajęcie wcale nie gorsze od innych, jeśli opanuje się należyte reguły dyskursu, w którym zdążyłem się już rozsmakować. Możliwość wypowiedzania się o literaturze bliskiego poznaniem wzorom — wydała mi się czymś nadzwyczaj atrakcyjnym i godnym starań. Bez żalu rozstałem się z innymi projektami i złożyłem papiery na polonistykę.

Nie przesadzę, jeśli powiem, że całe moje studia przebiegały pod znakiem IBL-u. Już od samego ich początku mogłem utwierdzić się w przekonaniu, że los mnie uprzednio skierował w stronę jak najbardziej słuszną. Na każdym kroku okazywało się, że IBL jest *n a p r a w d ę* autorytetem i wyrocznią, a jego duchową zwierzchność uznają ludzie, którzy mnie uczą. Upiory «starego literaturoznawstwa» były już wtedy z uniwersytetu wygnane, a «nowe»

stawalo się codziennością nauczania. Naplywalo stamtąd — z warsztatów iblowskich. To, czego nas uczono, bylo odblaskiem wiedzy tam ukutej. Wykladowcy odgrywali jedynie role posrednikow: przekazywali nam wieści o odkryciach i wynalazkach poczynionych w centralnej wytwórni sprzętu metodologicznego. Nie wszyscy potrafili wywiązywać się z tego zadania z równą swobodą; niektórzy wręcz śmieszili nieudolnością wysiłków. Nie w tym jednak rzecz: i ci swobodni, i ci nieudolni starali się przecież gorliwie sprostać tej samej sytuacji. Istotne było to natomiast, że pod pewnym względem znajdowali się w położeniu zbliżonym do naszego — studentckiego. Oni przecież musieli dopiero uczyć się tego, czego nas mieli uczyć; ich przyuczanie się do literaturoznawstwa nowego typu było równoległe do procesu naszego kształcenia. Pospolu z nami znajdowali się w sytuacji edukowanych. Było to położenie bardziej niż niewygodne: nie może liczyć na poważanie słuchaczy nauczyciel nieustannie wsłuchujący się w głos wyższego od siebie autorytetu i miotany niepewnością, czy to, co usłyszał, dobrze podaje dalej. A tu właśnie tak się rzeczy miały. Nie odczuwaliśmy więc specjalnego respektu dla wykładowców. Kult IBL-u, jaki głosili, był niewątpliwie wzmacniany wymową ich własnej kłopotliwej sytuacji: dostrzegając, jak bardzo są niesamodzielni i posłuszni naukom płynącym z głównej dyspozytorni — tym bardziej skłonni byliśmy cenić moce owej dyspozytorni, wyolbrzymiać je i mitologizować. Na seminaryjnych dyskusjach powołanie się na orzeczenia iblowskie miało znaczenie rozstrzygającego argumentu — ktoś, kto im przeczył, nie mógł mieć racji. Iblowskie terminy, koncepty, formułki interpretacyjne kształtowały nasz styl wypowiedzania się o literaturze. Trenowaliśmy go na wykładach, ćwiczeniach, egzaminach, zebraniach koła naukowego... Wiadomości o kolejnych osiągnięciach iblowskich miały dla nas posmak sensacji: zbudowano nowy zbiór zasad periodyzacji dziejów literatury; Iksowi udało się dowieść, że treść i forma tworzą jedność; Igrek rozwinął twórczo pogląd, że literatura nie należy do bazy; Zet sformułował prawo rozkładu epiki feudalnej; Jot wraz z zespołem wykazali, że późny Rej dochodził już do prawidłowego rozumienia dialektyki dziejów; R-owa ustaliła właściwą proporcję elementów rewolucyjnych i konserwatywnych w poezji Romanowskiego... Ileż podniet z takich wiadomości czerpały nasze studia! Z jakim nabożeństwem osiągnięcia te były

traktowane przez wykładowców! Wyznaczały one tematykę dyskusji i prac seminaryjnych; stanowiły przedmiot streszczeń, niezliczonych omówień i komentarzy. Co najważniejsze jednak: nauki z nich płynące wykorzystywaliśmy usilnie we własnym majsterkowaniu badawczym. Szczególnym autorytetem cieszyli się wśród nas ci koledzy, którzy potrafili wcześniej od innych połapać się w nowinkach, znaleźć dla nich zastosowanie, chytrze zaskoczyć nimi nie zorientowanego jeszcze wykładowcę. Przyznawaliśmy im najwyższy stopień wtajemniczenia: byli to prawdziwi ministranci przy ołtarzu «nowego literaturoznawstwa». Legenda IBL-u zniewoliła mnie, zanim jeszcze zobaczyłem na własne oczy i usłyszałem na własne uszy jakiegokolwiek spośród znamienitych Iblowców. Jak silna była jej presja, może świadczyć to, że zobaczenioustyszenie wiązało się z lekkim uczuciem zawodu. Fakt, że jakaś ze znakomitości była mocno grubawa, że inna mówiła głosem piskliwym, że następna miała kaczy chód, a jeszcze inna zabawnie seplenila — wydawał mi się czymś nad wyraz niestosownym, zakłócającym jedność stylową wizerunku. Musiało być tak, że fascynacja iblowską duchowością rozciągała się również na wyobrażenie fizycznego wyglądu jej przedstawicieli. Wyobrażałem sobie IBL jako oddział rosnących i harmonijnie zbudowanych osobników w sile wieku, o ruchach energicznych i stanowczych, mówiących ze spiżową dobitnością. Również niewiasty iblowskie podciągałem w swoich roje niach pod ten męski wzór. Z zaskoczeniem stwierdziłem, że tworzyły całkiem urozmaiconą i barwną społeczność k o b i e c ą. Najbardziej jednak byłem rozczarowany odkryciem, że większość personelu legendarnej instytucji to ludzie całkiem młodzi...

Bardzo trudno byłoby określić moment, w którym pojawiły się pierwsze nadkruszenia kultu (bo przecież pojawić się musiały). Nie-wykluczone, że całkiem wcześnie. Stały się jednak zauważalne dopiero wtedy, gdy było ich już stosunkowo dużo. Myślę, że przeszły próg zauważalności mniej więcej po upływie dwóch trzecich moich studiów. Pierwsze reakcje krytyczne sprowadzały się — jak zawsze w takich wypadkach — do na pozór bezinteresownych przedrzeźniania i śmieszających przeinaczeń iblowskiej nowomowy. Oswajani z nią na co dzień — musieliśmy w jakimś momencie zacząć odczuwać jej nużący schematyzm: powracalność uogólnień, ograniczoną repertuaru zabiegów interpretacyjnych, szablonowość wartościowań. Jej przewidywalność stawała się nieznośna. Odpo-

wiedzią na ten schematyzm były — zrazu nieśmiałe, potem coraz dalej idące — inicjatywy parodystyczne: karykaturalna przesada gestów interpretacyjnych, sprowadzanie do absurdu obiegowych formuł, szyderstwa ze świętych cytatów, kalambury terminologiczne. Takie były ludyczne początki kryzysu legendy. Istotniejsze okazały się dalsze ciągi. Rozbudzony krytycyzm wobec dyskursu iblowskiego pociągał za sobą — niemal automatycznie — zainteresowanie tym wszystkim, co dyskurs ów wykluczał lub przekreślał. Zaczęło nas coraz bardziej ciekawić przezwyjęzione «stare literaturoznawstwo». Kiedy patrzę na to z dzisiejszego punktu widzenia, wydaje mi się, że najbardziej brzemiennie w konsekwencje okazało się doświadczenie zaskakującej różnorodności tego, co zostało odrzucone. Po stronie IBL-u nie istniały możliwości wyboru: ktoś, kto tu przebywał, był skazany na jeden styl myślenia — jak na przeznaczenie (przynajmniej tak się wtedy wydawało); tymczasem po drugiej stronie rozciągał się świat bogaty w możliwości, cieszący różnorodnością propozycji, mówiący do Ciebie na wiele sposobów. Nie mogłem teraz pojąć, dlaczego ów świat wielogłosowy miał być gorszy od jednogłosowego. Gorszyła mnie likwidatorska postawa Iblowców, to, że nie potrafili wzbogacać się zwalczanymi poglądami, że je odrzucali — brutalnie i zarazem lekomyślnie. Ich agresywną pewnością siebie — tak mi przedtem imponującą — byłem obecnie skłonny traktować jako retorykę, która maskuje ubóstwo pola badawczego, brak subtelności w konceptualizacjach, prowizoryczność i tandetność ustaleń. Drażniło mnie ich upieranie się przy apriorycznych formułach i talmudycznych rozróżnieniach — świadczące, że bardziej niż literaturą zajęci są właściwym instalowaniem się w obszarze Doktryny. Ale najbardziej oburzające wydawało się pretendowanie IBL-u do monopolistycznego panowania nad dyscypliną, tendencje dyktatorskie i bezwzględne odbieranie głosu oponentom. Narastająca niechęć do IBL-u była zarazem niechęcią do samego siebie, który mu naiwnie i bezwolnie uległ. Wiedziałem, że muszę wyzwolić się od tej zależności. Pociągało mnie teraz wszystko, czego dyskurs iblowski zakazywał. Zacząłem szczególną uwagę zwracać na badaczy, którzy w owym czasie zamilkli lub prowadzili prace nie wymagające wchodzenia na terytoria objęte działaniami wojennymi. Na peryferiach polonistycznych zachowały się jeszcze resztki «starego» — i tam lokowałem swoje główne sympatie i nadzieje. W momencie

kończenia studiów byłem już nastawiony wobec IBL-u zdecydowanie niechętnie a nawet wrogo.

Lata następne pogłębiły niechęć. Jak przedtem (niedawno przecież) upatrywałem w nim kuźnię wiedzy najbardziej wiarygodnej, tak obecnie uważałem, że jest największą zawadą na drodze rozwoju prawdziwie naukowego literaturoznawstwa, głazem, który należy zepchnąć na bok, totalnym błędem wymagającym bezkompromisowego rozliczenia. Solidaryzowałem się z najsurowszymi słowami krytyki dokonań iblowskich i z jadowitymi szyderstwami, których im w owym czasie nie żałowano; gotów byłem oklaskiwać każdy cios wymierzony w upadającego idola. Rzecz ciekawa: również jako zawada wydawał mi się teraz zjawiskiem odwiecznym, masywną tradycją błędzenia i nieprawdy, przygniatającą dyscyplinę, którą pragnąłem uprawiać. Jeszcze nie zdając sobie sprawy, jaki styl pracy badawczej stanie się naprawdę moim, wiedziałem, że musi być jak najbardziej niepodobny do iblowskiego. To był warunek podstawowy, ale zarazem dotkliwe ograniczenie. Wrogość bynajmniej nie uwalnia cię od tego, co odczuwasz jako wrogie. Przeciwnie: limituje twoją wolność, a niekiedy zmienia ją po prostu w niewolę. Wcale nie jest mniej obliwująca od wyznawczości. Im bardziej podjudzałem w sobie wrogie nastawienia wobec IBL-u — tym bardziej byłem przezeń negatywnie określany i programowany. To, co IBL potępiał lub uznawał za niestłuszne, mnie — właśnie z tego powodu — wydawało się godne uwagi i zajmujące. Czytałem przeciw IBL-owi, myślałem przeciw IBL-owi i próbowałem przeciw niemu pisać. Wystrzegałem się jak ognia literaturoznawczej nowomowy: wiele wysiłku kosztowało mnie unikanie zarażonych nią terminów, nazwań czy sformułowań. Tematy, pojęcia, kryteria wartości, rozróżnienia, klasyfikacje itp., wciągnięte ongiś w jej służbę, były dla mnie stracone — tępiłem je (w sobie) z inkwizytorską bezwzględnością.

Nie wiadomo, w jakie dziełnice byłbym skierowany przez ową, znajdującą coraz to nowe uzasadnienia, wrogość, gdyby udało się jej wytłumić we mnie poczucie rzeczywistości. Na szczęście sprawy nie zaszły tak daleko. Po paru latach antyiblowskiego rozjątrzenia zacząłem sobie uprzytamniać, że borykam się myślowo z widmem przeszłości, a nie z żywym zagrożeniem. IBL wprawdzie istniał nadal, ale wcale nie odczuwałem, by cokolwiek mi narzucono w jego imieniu. Nie mogłem nie spostrzec, że poza fasadą

ciągłości instytucjonalnej dokonywały się w nim jakieś istotne przeobrażenia: uległ rozsypce dawny «język iblowski», a na jego gruzach zaczęły się formować różne nowe języki dość swobodnie z sobą konkurujące. Trudno było temu zaprzeczyć, chyba żeby się udawało ślepego. Zastanowiła mnie — i zaniepokoiła — inna jeszcze okoliczność. Dotychczas moja prywatna samotanina stanowiła w znacznej mierze refleks szerokiej kampanii prowadzonej przeciw iblowskiemu literaturoznawstwu przez krytyków i badaczy literatury, których dorobek cenilem, a postawę szanowałem. Liczni spośród nich mieli w przeszłości aż nadto dużo powodów, by IBL-u nie cierpieć. Ale oto zauważyłem, że od pewnego czasu jak gdyby wycofali się z walki: nie kontynuują ataków, a niektórzy zajmują nawet postawę życzliwie wyczekującą. Na placu pozostali bojownicy ulepieni z kiepskiego materiału: krzykliwi frazesowicze, miernoty sfrustrowane brakiem sukcesu zawodowego, małe gryzonie z nominacjami na tygrysy. Najbardziej zajadłych pamiętałem z niedawnych lat studiów: należeli do wykładowców, których najśluszniej było określić mianem iblowskich marionetek. Traktowali wówczas IBL jak wyrocznieść; ewolucja, jakiej obecnie podlegał, usuwała im grunt spod nóg. Sojusz z nimi byłby czymś żalonym ponad wszelkie wyobrażenie.

Wszystko razem skłaniało do zastanowienia i trzeźwego rozpatrzenia się w zmienionych okolicznościach. Taki był punkt wyjścia mojego powtórnego ruchu do-Iblowego. Nie pragnę bynajmniej składać sprawozdania z jego kolejnych faz. Wystarczy powiedzieć, że jest to proces wciąż dla mnie żywy, związany ze stawaniem się mego «ja jaknajdzisiejszego» (jakby powiedział Białośzewski). Z tego względu trudny do uchwycenia w słowach. Co w nim odczuwam jako najważniejsze? Otóż po pierwszych rozpoznaniach nowej sytuacji, które podziały na mnie pacyfikująco, przyszły następne — dzięki którym mogłem dojść dalej niż do neutralności. Okazywało się, że narastały w IBL-u sprawy, tematy i orientacje dziwnie pokrewne tym, do jakich sam się zbliżałem w swoich antyiblowskich poszukiwaniach. Stwierdzenie tych pokrewieństw, a następnie oswojenie się z nimi — pozwoliły mi, bez nadmiernych przeszkód, jakie wznosi nieufność, znaleźć się ponownie na orbicie okołoblowskiej. Powiadam: «ponownie», ale przecież doświadczenia, jakie się z tym wiązały, zupełnie nie przypo-

minały dawniejszych moich wyobrażeń o IBL-u i jego ludziach. Już nie z samozwańczymi (czy mianowanymi) mentorami polonistyki miało się do czynienia, ale ze środowiskiem badaczy ożywionych duchem partnerstwa. Byli wśród nich ludzie o różnej skali talentu, inteligencji, produktywności i — co za tym idzie — autorytetu. Dziwnie to zabrzmiało, ale właśnie normalność — tego dawniej mitologizowanego — kolektywu zrobiła na mnie szczególne wrażenie. I dopiero w drugiej kolejności ów duch partnerstwa, który sprawiał, że każdy, kto mógł wnieść jakikolwiek wkład do spraw diskutowanych, był dopuszczany do głosu i chętnie wysłuchiwany. Partnerstwo implikuje otwartość na oddziaływania z zewnątrz i nieprzywiązywanie wagi do opozycji: «swoi» — «obcy». Jakoż IBL tak dalece stawał się otwarty, że wchłaniał jednego po drugim swoich dawnych przeciwników, żywiąc się ich poglądami i wzbogacając nowymi punktami widzenia. Rósł przy tym w siłę i zdobywał — sposobami, które nie mogły nie budzić uznania — ośrodkowe miejsce w życiu naukowym polonistyki. Stykając się — coraz częściej i chętniej — z tym odnowionym (i odnawiającym się) IBL-em, utwierdzałem się w przekonaniu, że główną zasadą określającą współżycie w jego obrębie jest przyzwolenie na odmiennność. Dopuszczał on możliwość koegzystencji nie tylko różnych gatunków umysłowości, charakterów, temperamentów i piór, ale także metod badawczych, zainteresowań, problematyk, koncepcji i miar wartości. Wtedy dopiero zdałem sobie po raz pierwszy sprawę, na czym polega rola dużego środowiska w pracy umysłowej (małe podlega innym prawom). Nie na tym przecież, że jednorodne i jednomyślne — ciebie na swój wzór kształtuje, lecz na tym, że maksymalnie urozmaicone — dostarcza ci wielu, nawet wzajem sprzecznych, podniet, poparcie i sprzeciwów, spośród których możesz wybrać to, co ci potrzebne, by określić własną w nim odmiennność. IBL jawił się teraz moim oczom jako takie właśnie środowisko — świat społeczno-zawodowy na swój sposób całkowity: mogłem w nim znaleźć i nauczycieli, i sojuszników, i oponentów, i kontrahentów. Zdawał się móc zaspokajać wszystkie moje potrzeby związane z uprawianiem profesji, którą musiałem uprawiać, ponieważ do innej nie byłem przygotowany. Nie potrafiłem przejść mimo tej szansy — i dałem się zwerbować. Było to piętnaście lat temu...

Takie to moje pomyślenie. Teraz już wiecie, dlaczego trudno mi

wewnętrznie przystać na wiadomość, że jestem od IBL-u starszy. Czyż mogę uwierzyć w młodszość instancji duchowej tak dalece (to z odległości, to z bliska) i tak wielorako decydującej o moim losie?

Janusz Sławiński